

Od autora: wspomnienie

cd.

– Chodźcie. Pokażę. Stoi tam tylko jeden.

Wyszliśmy na torowisko. Kiedy zobaczyłem wagon, lekko zdębiałem. Kolega, sądząc z jego nieartykułowanego okrzyku, również. Wydukalem:

– To...o, to jest ten wagon?!

– A jaki? – Teraz magazynier się zdziwił. – Przecież amerykan. Pierwszy raz go widzicie, czy co?

– No pierwszy. Myśleliśmy, że...

– Że to jak nasz, na dwadzieścia cztery tony? U Amerykańców jak u Ruskich, wszystko większe. Dlatego się zdziwiłem, że was tylko dwóch. A inni, jak ich znam, się wykpiłi a nie żadne urodziny. Tu się trzeba trochę nachodzić przy robocie. – Klepnął mnie po ramieniu. – Ale jak zrobicie, to taką wypłatę nie wiadomo czy jeszcze kiedyś na raz zarobicie.

Dopiero teraz przypomniałem sobie, że na samym początku naszej pracy któryś z fachurów wspomniał w pogawędce przy posiłku, że unika „Amerykanów”. Jakby ich dużo w Polsce widział... Sam nie widziałem w życiu ani jednego. Właśnie – żywego. Nie lubi ich, to jego sprawa. Zasłyszałem jednym uchem, drugim wyleciało; przez głowę mi nie przeszło, że może chodzić o wagon.

Amerykaniec prezentował się naprawdę imponująco, zwłaszcza całkiem z bliska. Przed nami stało ogromniaste, żelazne pudło na kołach. Wyższe, szersze i dłuższe od zwykłych, znanych nam węglarek. Dużo dłuższe. Miało aż po dwoje szerokich drzwi z obu stron wagonu. Nagle poczułem się malutki wobec tego kolosa.

Spojrzałem na Kazika. Stał nieruchomo i gapił się z otwartą buzią, na podobieństwo zastygłej żony Lota. Przełknąłem ślinę i zapytałem:

– Panie magazynier, ile to to bierze?

– Ton? Jak zwykle, sześćdziesiąt cztery.

Sześćdziesiąt cztery! Ponad dwa i pół raza więcej niż nasz, normalny wagon. Od razu mi pojaśniało w głowie. Magazynier miał rację, że starzy fachowcy od łopaty się wykpiłi. Robić robili, ale...

– Bierzcie się do roboty, bo ranek was zastanie i po premii. – Z oszołomienia wyrwał mnie głos magazyniera. – Tylko dalej rzucajcie od szyn. Zawalicie je, będziecie odsypywać. Idę do domu. Wróć o pierwszej, wcześniej i tak nie zdążycie.

Odwrócił się i odszedł. Popatrzyliśmy po sobie. „Jasny gwint! Aleśmy dali się zrobić – przemknęło mi

przez głowę. – We dwóch do takiego kolosa. Za ludowe Chiny nie skończymy do północy. Tu trzeba się sprężyć, aby koło pierwszej skończyć”.

Nie było co dłużej deliberować. Westchnąłem głęboko:

– Dawaj, Kazik. Nie ma co stać. Inaczej prosto stąd ledwie zdążymy do pracy na szóstą. Dobrze, że jest pod nosem.

Otworzyliśmy zasuwę pierwszych drzwi i z wysiłkiem zaczęliśmy je przesuwac. Były cholernie ciężkie i poddawały się z wielkim oporem, zgrzytając jak stary tramwaj na zakręcie torowiska. W miarę, jak je otwieraliśmy, na tory zaczął się wysypywać drobny, węglowy grys. „Tu ciągnik by się przydał do drzwi, a nie ledwie dwóch chłopów” – przemknęło mi przez głowę.

Po dłuższej mitrzędze otworzyliśmy je wreszcie do końca. Spojrzałem w górę. Kazik aż się za głowę złapał:

– Zdzisiek, toż ta góra ogromna jak piramida Cheopsa! W życiu tego nie zrobimy!

– Dobra, nie gadaj tyle. Musisz, cholera, jeszcze komentować?! Daliśmy się za psa, to szczekamy. – Ogarnęły mnie te same obawy, ale wolałem nie dołować kolegi jeszcze bardziej. – Za gadanie nam nie zapłacą. Dawaj na tę górę.

Wspiąłem się pierwszy po usuwającym spod nóg grysie i podciągnąłem Kazika. „Popluć w dłonie i szable... szufle w dłoń”!

Początki okazały się jednak nie takie złe, jak myślałem. Sił na początku mieliśmy dosyć, szufle były duże, drobny węgiel, przy drzwiach, sięgał do ich jednej trzeciej wysokości. Na początku węgiel zsuwaliśmy łopatami; później wystarczyło dobrze nabrać grys, odwrócić się i z zamachem sygnąć na plac przy wagonie. Po kwadransie zrobiło nam się już ciepło, zrzuciliśmy więc wierzchnie ubrania, pozostając tylko w koszulach. Październikowy dzień był dość chłodny, ale robota rozgrzewała. „I raz! I dwa! I trzy!”. Szło nam dużo lepiej niż w moich obawach na początku, kiedy zobaczyłem to ogromne pudło.

Po godzinie zrobiliśmy krótką przerwę, ale już dość dużo było oczyszczone przy drzwiach. Uspokoilem się; wyglądało, że diabeł... amerykaniec nie jest taki straszny, jak go odmalowałem w wyobraźni. „Czego ci niby fachowcy szuflowania tak się zmyli? Zwykła robota, gdzie te trudy niewarte zarobku?”.

– Dobra, nie jest źle, dawaj Kazik, złazimy na dół. W tym tempie może wyrobimy się nawet przed północą.

Przy wrotach wagonu szło nam jeszcze lepiej. Co ruszyliśmy węgiel od spodu, to z góry grys sam się zsuwał w pobliże drzwi; nie musieliśmy chodzić, wystarczyło tylko się odwrócić, machnąć i wyrzucić na zewnątrz.

Po następnej godzinie zaczęło ciemnieć na dworze, zapaliły się lampy na słupach. Jednak nie było już tak lekko – zacząłem odczuwać lekkie zmęczenie w mięśniach; do tego węgiel przestał sam się zsuwać z góry. Rozpoczęliśmy chodzenie. Krok do przodu, nabranie węgla, obrót, krok w stronę drzwi, wymach

szuflą, obrót, krok do przodu, nabranie węgla... Po następnej półgodzinie musieliśmy robić dwa kroki na jedną operację. Po następnej już trzy. Samo noszenie było dużo cięższe niż machanie łopata. Do tego przez te spacery wydajność pracy spadła nam o dobre dwie trzecie.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Zdzisław, dodano 02.04.2021 17:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.